

Tylko prawda nas wyzwoli – Tomasz P. Terlikowski

Książka jest zbiorem dziesięciu wywiadów o stanie Kościoła katolickiego i jego przyszłości w Polsce przeprowadzonych przez Tomasza P. Terlikowskiego. W rozmowach autor porusza temat wykorzystywania seksualnego, pedofilii, homoseksualizmu, feminizacji kościoła, celibatu oraz błędów w formacji kleryków. „Tylko prawda nas wyzwoli” stawia pytanie – co Kościół robi wobec wyzwań współczesnego świata?

Tylko prawda nas wyzwoli – Tomasz P. Terlikowski

Rok wydania: 2020

Wydawnictwo: Fronda

Liczba stron: 264

ISBN 978-83-807-9496-2

Autor zauważa, że w polskim Kościele zaczynają się pojawiać korporacyjne zachowania, niszczące strukturę eklezjalną, jak w Irlandii. W Australii jednym z żądań stawianych Kościołowi katolickiemu przy okazji procesów o pedofilię jest zniesienie tajemnicy spowiedzi. To był przyczynek do rozmowy na temat sytuacji Kościoła w Polsce z:

- dr. Bogdanem Stelmachem
- red. Zbigniew Nosowskim
- dr. Sebastianem Dudą
- ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim
- dr Sabiną Zalewską
- ks. prof. Andrzejem Kobylińskim
- red. Tomaszem Rowińskim
- dr. Cezarym Kościelniakiem
- dr Justyną Melonowską
- oraz osobą skrzywdzoną seksualnie przez księdza

***To rak bezobjawowy, a w istocie zżerający bardzo głęboko od
wewnątrz***

(Fragment rozmowy z red. Zbigniewem Nosowskim)

Wydarzenia, które nie są wypowiedziane, nie są odpokutowane (a to oznacza jasno postawione), ciążą na społecznościach i grupach. Krew, cierpienie niewinnych, którego źródłem czasem było uznanie, że ich prawa są mniej ważne niż dobro jakiejś instytucji, ciążą na sumieniach nie tylko jednostek, ale także na przyszłości instytucji. Nie ma innej drogi zdjęcia tego ciężaru, tak by pójść do przodu, realnie się zmienić, niż publiczne wyznanie grzechu, publiczna pokuta i rozliczenie, które w przypadku wielkich instytucji określić można jako „oczyszczenie pamięci”.

Prawdy te, częściowo z przestrzeni teologii, a częściowo zwyczajnego wyczucia moralnego, odnoszą się także, a może przede wszystkim, do Kościoła. Nie jest przypadkiem, że w roku

2000 św. Jan Paweł II tak mocno prosił o wybaczenie grzechów ludzi Kościoła. W roku 2019 trzeba nadal iść tą drogą i mocno, nie obawiając się zgorszenia, przepraszać także za te zbrodnie, przestępstwa, problemy, które ujawnione zostały obecnie, ale które ciążą na życiu jednostek i zbiorowości.

Nie są to kwestie błahe, pozbawione znaczenia, nieistotne dla historii Kościoła w Polsce czy dla jednostkowych losów. Rozliczenie owych przestępstw to pokazanie, że z perspektywy wiary, Kościoła, moralności cierpienie niewinnych jest ważniejsze niż dobro instytucji czy osób dla niej zasłużonych. Nie ma znaczenia, kto jest przestępcą, ważne jest, by ofiary miały poczucie, że Bóg jest z nimi. Jeśli Kościół hierarchiczny nie potrafi tego pokazać, to znaczy, że akurat w tej kwestii nie idzie z Jezusem. Jakkolwiek by to pompatycznie zabrzmiało. I właśnie o tym jest ta rozmowa ze Zbigniewem Nosowskim, redaktorem naczelnym „Więzi”. Jest to rozmowa trudna, niewygodna dla wszystkich, ale konieczna.

Jaka może być skala skandali seksualnych w Polsce?

Nie wiem, mnie akurat najmniej zajmują dane liczbowe. Pracuję bezpośrednio z osobami skrzywdzonymi i dlatego bardziej interesuje mnie konkretny człowiek niż skala problemu. Może to dziwne, bo przecież jestem z wykształcenia socjologiem, ale nie fascynują mnie wyliczenia, którym niektórzy się oddają. W kwestii liczb kluczowe wydaje mi się stwierdzenie, że jest to prawdopodobnie podobny odsetek, jak w krajach anglosaskich czy w Niemczech.

Czyli od 3 do 6 procent wszystkich księży pracujących przez pięćdziesiąt lat. Taka średnia wychodzi zarówno z raportów Kościoła amerykańskiego, jak i australijskiego, a także z szacunków niemieckich czy francuskich. A przecież pocieszaliśmy się, że w Polsce były inne warunki, nie było prywatnych szkół katolickich, nie było internatów i w związku z tym ofiar mogło być mniej.

Ważniejsza dla mnie jest liczba ofiar niż sprawców. Ale podobieństwo do innych krajów wydaje mi się nieuniknione. Pamiętam doskonale, że w 2010 roku zastanawiałem się długo (całe szczęście, nie mówiłem o tym publicznie, więc nie muszę się teraz wstydzić), dlaczego Niemcom udaje się tak dobrze te sprawy rozwiązywać. A parę miesięcy później zaczęła się w tym kraju lawina zgłoszeń ze strony ofiar duchownych – czyli sytuacja dojrzewała i zmiana nastąpiła skokowo. W Polsce może być podobnie, szczególnie że my nadal w większości nie rozumiemy, iż problemem są nie tylko sprawcy, nie tylko same fakty przemocy seksualnej wobec dzieci i młodzieży, ale przede wszystkim reakcje przełożonych.

To akurat jest wspólne większości krajów i Kościołów lokalnych, a może świadczyć o tym, że jest to problem wspólny dla całego Kościoła. Wynika on jakoś z jego struktury odczuwania samego siebie, myślenia, z hierarchicznej natury, a nie tylko z jakichś cech przypadłościowych.

Dlatego wydaje mi się, że poważniejsza refleksja nad konsekwencjami tego kryzysu musi nas prowadzić do myślenia nad tym, jaki inny, niemonarchiczny, niefeudalny Kościół można tworzyć. Tak przecież było, że powodem, dla którego bardzo długo nie zgłaszano spraw do prokuratury czy na policję – i to zarówno na poziomie Watykanu, jak i Kościołów lokalnych, diecezji czy zakonów – było przekonanie, że biskup (posiadający w Kościele pełnię władzy) wszystko odpowiednio załatwi. A tu w kolejnych krajach się okazywało, że biskupi problemów odpowiednio nie załatwiają, że troszczą się przede wszystkim o to, aby skandale nie wychodziły na jaw. Czyli wiara w dobrą wolę tego, który miał sprawę rozstrzygać, została podważona. I to nie tylko personalnie, lecz strukturalnie. Okazuje się bowiem, że struktura poniekąd wymuszała na wielu osobach działania w interesie jej samej, a nie w interesie ofiar. A to znaczy, że w odpowiedzi na kryzys warto postawić pytanie o to, jak zbudować tę strukturę inaczej.

Jaka miałyby być ta niemonarchiczna i niefeudalna struktura Kościoła?

Nie potrafię obecnie odpowiedzieć na to pytanie. To trzeba bardzo gruntownie przemyśleć. Ale wydaje mi się, że żyjemy w punkcie zwrotnym historii Kościoła. Oto – chyba po raz pierwszy od wielu setek lat – mamy jako świeccy prawną możliwość zainicjowania procesu kontroli postępowania biskupów. Papież Franciszek dał nam do tego narzędzia, wydając motu proprio *Vos estis lux mundi*. Wyznaczony jest tam nawet termin, w jakim skargi na przełożonych kościelnych mają być zbadane i załatwione. A to oznacza, że po raz pierwszy od dawna w Kościele możemy nie tylko pisać na Berdyczów – co wielokrotnie pewnie i ty, i ja w różnych sprawach robiliśmy, zazwyczaj nie

otrzymując żadnej odpowiedzi – ale że istnieje mechanizm kontrolny, który przewiduje możliwość braku dobrej woli ze strony biskupa (a że tak bywało, wiemy aż nadto dobrze). To jest bardzo ważne, bo umożliwia realne oddziaływanie, choć na razie bardzo ograniczone, na sposób sprawowania władzy w Kościele. Te mechanizmy dopiero się kształtują, ale dają nadzieję.

Nie obawiasz się, że poza mechanizmami kontrolnymi konieczna jest też zmiana mentalności?

Zmiana mentalności jest oczywiście fundamentalna. Bez niej żadne skuteczne nawrócenie strukturalne Kościoła nie jest możliwe.

Tak się bowiem składa, że po pierwsze, zdaje się, że wciąż dla pewnej części hierarchów Kościołem tak naprawdę są tylko księża i w związku z tym troska o nich jest najważniejszym zadaniem biskupów. A po drugie, to sprawa bardziej skomplikowana, bo wypływająca z rozumienia grzechu. W Kościele wiemy, że wszyscy jesteśmy grzesznikami, i że spowiedź jest miejscem, gdzie nasze grzechy są nam odpuszczane. Ale z tych dwóch założeń często wyciągano wniosek, już nieprawdziwy, że w związku z tym, że księża też grzeszą, to należy te grzechy odpuszczać i kierować ich dalej do pracy. A przecież, choć niewątpliwie grzechy należy odpuszczać, to już kwestia tego, czy dalej powinni pracować, jest bardziej skomplikowana.

A jakby tego było mało, księża i biskupi są ekspertami w odpuszczaniu grzechów, więc wiedzą, że to naprawdę działa, ale mają też pokusę zbyt łatwego załatwiania pewnych spraw, także w konfesjonale. Mnie wydaje się, że tolerowanie przestępstw seksualnych zakorzenione jest mocno w myśleniu, że przede wszystkim należy unikać skandalu, zgorszenia, że nie wolno mówić o problemach głośno, bo co sobie ludzie pomyślą, przecież Kościół jest święty.

Ale ważna jest również inna przyczyna. Myślę, że w Kościele, a chyba nie tylko w Kościele, nie jesteśmy w pełni świadomi zła, konsekwencji tych przestępstw wobec ofiar. To jest zresztą kwestia, której świadomość, także w społeczeństwie, się rozwija. Świadomość długofalowych konsekwencji krzywdy wyrządzonej dzieciom czy osobom niepełnoletnim wykorzystywanym seksualnie wzrasta. Jeszcze kilkanaście lat temu, w 2004 roku, kiedy wybuchła sprawa księdza Jankowskiego, wiele osób, ze mną włącznie, odetchnęło z ulgą, kiedy się okazało, że w zeznaniach nie ma mowy o współżyciu seksualnym: „Ufff, to do niczego nie doszło” – mówiło się piętnaście lat temu. Teraz sam się wstydzę tej swojej reakcji, ale wtedy takie było myślenie. Dopiero rozwój psychologii, a przede wszystkim świadectwa ofiar, pokazały, jak głębokie są konsekwencje wdarcia się przez sprawcę do najintymniejszej sfery życia młodej osoby. Znakomicie pokazuje to list, który akurat dziś dostałem od Wiktora Poryckiego, człowieka, który jest ofiarą wykorzystywania seksualnego przez księdza i wydaje się, że dobrze sobie ze wszystkim radzi, że już sobie to wszystko przepracował: „Gdziekolwiek się wychowywaliście, czy to była wieś czy miasto, widzieliście nieraz bezpańskiego, bezdomnego psa. Ja z racji [miejsca] zamieszkania widzę je często. Tzw. ludzie wywożą je do lasu opodal i zostawiają, bo stary już i niedołężny, chory. Błąkają się zdezorientowane, zrozpaczone. Nie boję się użyć tego słowa, tę rozpacz

i tęsknotę za swoim człowiekiem widać w ich oczach. Głodne i przeganiane, czasami jeszcze ufne wobec człowieka, czasami już pełne strachu i nieufności, po tym, czego doświadczyły od swojego opiekuna i napotkanych przedstawicieli gatunku Homo sapiens. Czasem ktoś się zlituje nad ich głodem i pragnieniem, wystawi miskę jedzenia i wody, wtedy na chwilę w ich oczach pojawia się najpierw strach, potem jednak głód zwycięża i jedzą – i pojawia się błysk. Czego? Zaufania? Uczucia? Czegoż? Najczęściej uciekają, choć zdarza się, że wracają i proszą o jedzenie i chyba o coś więcej. O swojego człowieka, o odrobinę miłości. Bo one nas obdarzają miłością całkowitą i bez-interesowną. Opowiada się, że pies to jedyne stworzenie, które swego człowieka kocha bardziej niż samego siebie. Można w to wierzyć, można to odrzucać, ja wiem, że tak jest. Najczęściej nie znajdują, odchodzą same, w ciszy. Nie ma nikogo, kto je odda ziemi. Tak jest ze mną, ofiarą. I tak będzie na koniec”.

To są słowa dojrzałego mężczyzny, który ma, wydaje się, dobrze przepracowane wydarzenia sprzed wielu lat, który jest zaangażowany mocno w życie Kościoła, a wciąż popada w takie stany, że czuje się jak bezdomny pies. Bardzo wiele ofiar tego doświadcza, a rekompensaty finansowe im tego nie załatwią.

Co w takim razie ma zrobić Kościół?

Postawić ofiary w centrum, a to oznacza towarzyszyć im. Jak wiesz, współtworzę Inicjatywę „Zranieni w Kościele”, czyli telefon wsparcia (800 280 900) i środowisko pomocy dla ofiar. Jak dotąd, nie zadzwonił do nas nikt po to, by uzyskać pomoc w zdobyciu odszkodowania od Kościoła. Te zranione osoby potrzebują przede wszystkim

towarzystwa, pomocy terapeutycznej, wsparcia duchowego. Znaczna część osób dzwoni, by się upewnić, czy na pewno nie chcemy zrobić krzywdy Kościołowi, i zapewnia, że oni wiedzą, że ich nie skrzywdził Kościół, ale konkretny człowiek. Chcą, aby ktoś ich w końcu wysłuchał.

A czy Kościół potrafi być taką wspólnotą dla ofiar?

Kościół w Polsce powołał, i słusznie, delegatów do spraw ochrony dzieci i młodzieży w diecezjach, zakonach, i oni coraz lepiej funkcjonują. Ale – warto mieć tego świadomość – ci duchowni są jednak delegatami instytucji, czyli są ustanowieni jednak do jej ochrony. Niektórym udaje się przekraczać tę rolę, ale strukturalnie dla nich punktem odniesienia jest instytucja Kościoła, a nie osoby skrzywdzone. To było doskonale widać w przypadku tego quasi-raportu, jaki Konferencja Episkopatu Polski przedstawiła w marcu 2019 roku. Tam podano liczbę oskarżonych duchownych, ale nawet nie zsumowano liczby ofiar! I trudno się temu nawet dziwić, bo z perspektywy obrony instytucji akurat liczba sprawców jest kluczowa – to oni są problemem dla instytucji...

I właśnie dlatego myślę, że warto, aby w strukturze Kościoła znalazła się możliwość – może nie zamiast, ale obok delegatów, którymi często są kanclerze czy rzecznicy Kurii – aby powołać, również w diecezjach, instytucję rzecznika praw ofiar. To powinna być osoba świecka, najlepiej kobieta albo jeszcze lepiej dwie osoby: mężczyzna i kobieta, w zależności od tego, z kim kto chciałby rozmawiać. Kościół musi się takich spraw uczyć od społeczności świeckich, w których od pewnego czasu powołuje się rzeczników praw dziecka, rzeczników praw

obywatelskich. Rzecznicy, także ci w Kościele, muszą być niewygodni, muszą uwierać swoje instytucje, muszą przypominać – zwłaszcza w sytuacjach spornych – o podstawowych zasadach.

Gdyby w Kościele istnieli rzecznicy praw ofiar, byłby to czytelny sygnał, że w naszej wspólnocie naprawdę chce się widzieć osoby skrzywdzone i słuchać je. Musi być jednak tak, że owi rzecznicy rzeczywiście będą pracować na rzecz ofiar, będą zawsze po ich stronie. Trochę podobnie jak w procesie o stwierdzenie nieważności małżeństwa są obowiązkowo dwie strony: i obrońca węzła małżeńskiego, i adwokaci stwierdzający, że jest inaczej. Instytucjonalna reprezentacja ofiar byłaby jakościową nowością.

To jest jednak bardzo trudna rola, bo trzeba pamiętać o tym, że ofiary przyjmują bardzo różne strategie wobec Kościoła, różne do niego podejście. Część z nich to ludzie wierzący, zaangażowani, kochający Kościół, część zaś to ludzie naprawdę na Kościół wściekli, rozżaleni, antyklerykalni. Taki rzecznik, o jakim mówisz, musiałby zderzać się często z bardzo słusznymi emocjami, zrozumiałymi, mającymi głębokie źródła, ale zewnątrz bardzo nieprzyjemnymi dla instytucji Kościoła, także dla ludzi wierzących. Część działań grup ofiar w Stanach Zjednoczonych było na granicy profanacji, a później często chodziło głównie o pieniądze.

To prawda, to będzie trudna rola. Ale cała ta sprawa jest bardzo trudna dla Kościoła. I jest niestandardowa, więc trzeba szukać niestandardowych wniosków z niej wypływających. Dlatego zresztą

powinniśmy uczyć się na błędach innych. A nie umiemy tego robić. Mogliśmy o takim empatycznym podejściu do ofiar myśleć od dawna, ale jakoś się to nie udawało.

Pamiętam, że jedną z najtrudniejszych rozmów, jakie odbyłem w życiu, była ta z arcybiskupem Józefem Michalikiem, dotycząca sprawy z Tylawy. To był rok 2012, przyjechałem do niego bezpośrednio po rozmowie ze znajomą ofiarą tamtego kapłana. Było już kilka lat po prawomocnym wyroku, więc miałem nadzieję, że metropolita przemyski przemyślał swoją postawę (wcześniej bronił sprawcy, oskarżał media o walkę z Kościołem i lekceważył obowiązujące wskazówki watykańskie). Chciałem wówczas przekonać arcybiskupa, żeby się spotkał z moją znajomą i z innymi ofiarami, a on tylko odpowiadał: „Po co ja mam się z nimi spotkać, co ja mam im powiedzieć? W ogóle nie mamy o czym rozmawiać”. „Ale papież Benedykt XVI w każdym kraju spotyka się z ofiarami” – przekonywałem. „Daleko mi do papieża” – zakończył spotkanie arcybiskup Michalik, wówczas przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski.

I rozpadły się w pył nadzieje ofiar, które były gotowe przyjąć zaproszenie od arcybiskupa przemyskiego. Prosty gest okazał się niemożliwy do osiągnięcia aż do dziś. Minęło już prawie dwadzieścia lat od ujawnienia sprawy tylawskiej i do tej pory nikt z kurii przemyskiej nie kontaktował się z ofiarami tamtejszego proboszcza. Gdy półtora roku po tamtej rozmowie usłyszałem słowa abp. Michalika, że dziecko lgnie do dorosłych, w tym księży „i zagubi się samo, i drugiego do grzechu ciągnie”, wiedziałem, że to jest jego prawdziwe myślenie, a nie lapsus językowy.

Przeczytaj spis treści